

narady siedzi bowiem doświadczony (znany z innych poczyniń i wcześniejszych powieści) major, kapitan, a prywatnie młodszy kolega szefa-partyzanta, mający w zespole mało rozgarniętego porucznika i starego sierżanta – to oni przejmą śledztwo od gościa z prowincji. Major niekiedy jest wzywany z urlopu albo przesuwa mu się odejście na emeryturę. Wiadomo, nikt inny nie da rady. Pułkownik, „Stary”, czyli partyzant, od razu zagania pracowników do działania, żąda wyników, bo inaczej Góra urwie mu głowę. Nie ma tłumacza, bierzcie się, towarzysze, do roboty! Sekretarka sprząta pełne petów popielniczki.

Robota rusza. I nowe-stare elementy. Zaczynają się przesłuchania, często bywające skutkiem wezwania do tzw. pałacu Mostowskich w Warszawie (komenda miejska MO), albo wyjazdów bohaterów milicjantów do podejrzanych. Niekiedy bowiem losy powieści toczą się w Krakowie, na Mazurach lub Bieszczadach, ale z zasady wątki i tak zbiegają się w Warszawie. Poznajemy topografię miasta, jego podejrzane lokale, trudne dzielnice i ulice, także (przelotnie) podstołeczne miejscowości, zwykle siedziby typów niedwuznacznej konduity, miejsca usytuowania „dziupli” (gdzie gromadzi się kradzione samochody), melin etc. Ale niemal zawsze Warszawa, Warszawa. Niestety. Centralizm (zresztą do dziś, choć ustrój inny, nic się nie zmieniło).

Przy okazji przesłuchań, wizyt na melinach i w lokalach objawia się galeria typów, z którymi dzielni mundurowi mają do czynienia: paskudni cinkciarze i badylarze, posiadacze warsztatów samochodowych prowadzący lewe interesy, podejrzani kolekcjonerzy malarstwa lub cennych znaczków, pokrętni adwokaci, prezesi i reprezentanci paru innych profesji. Raczej nie ruszało się profesorów. Wredni mogli się za to okazać docenci lub doktorzy, no i magistrowie każdego typu. Rzadko się zdarzało, żeby autor kryminału wyszedł poza sztamę i stworzył postać, powiedzmy, uczciwego i dobrego pisarza; jeśli takowy typ się pojawił na scenie, to albo był wyjątkowo głupi i grafoman, albo leniwy i pijak. Podobnie adwokat, mechanik samochodowy, handlarz staroci. Normalności i przeciwwagi dla schematów brakowało. Nie przypominam sobie ani jednego skorumpowanego, złego lub choćby leniwego milicjanta.

Gdzie uciekać?

Śledztwo tymczasem trwało i trwało. Niekiedy nawet przybywało trupów i podejrzanych. Szczególnie jeśli tok zdarzeń rozgrywał się na wczasach albo w starym pałacu, domu pracy twórczej w bliżej nieokreślonych lasach czy górach. Bywało, iż nierozgarnięty, ale w gruncie rzeczy dobry porucznik-pomocnik popełniał przy tej okazji drobne błędy i odsuwał w czasie rozwiązanie zagadki, lecz wreszcie stary wyga major (główny bohater powieści) mógł zameldować kolede–partyżantowi, iż morderca jest już–już na widelcu. Wypada tylko pojechać na Mazury i usidlić. Notabene często przestępcy uciekali (w ostatnim akcie determinacji) do Gdańska lub Szczecina /

Świnoujścia, gdzie mieli zaklepany wcześniej zagraniczny statek, którym szykowali sobie ucieczkę. Oczywiście nie załatwiali sobie całego statku tylko kajutę, ewentualnie „lewe” miejsce pod pokładem. Rzadko natomiast złończyń planowali uciekać drogą przez Świecko (do NRD?), a nigdy przez Brześć do ZSRR lub choćby przez Kuźnicę na Białoruś czy do Wilna. Zdarzały się zatrzymania w Zembrzydowicach (pociąg) na granicy z Czechosłowacją.

Ostatecznie zawsze sprawiedliwość zwyciężała, a doświadczony major wykladał „kawę na ławę” podczas ostatecznej narady u pułkownika-partyzanta. Przestępca wówczas już był zatrzymany, zastrzelony lub ginął w wypadku samochodowym przez siebie wywołanym (po ucieczce do Świnoujścia kradzioną ciężarówką). Niekiedy, po zakończeniu narady, pułkownik zatrzymywał na krótko kolegę-majora, wyciągał z biurka koniak (tylko „po maluchu”), lecz niekiedy także go po przyjacielsku strofował. Bo śledztwo trwało stanowczo za długo. Albo Góra już–już chciała kogoś zwalniać. Czy jakoś tak...

Pamiętam, jak po przeczytaniu pod rząd kilkunastu prac (a czyta się je łatwo, szybko, można więc łykać po parę pozycji dziennie) wręcz uwierały mnie psychicznie ewidentne felery tych „dzieł”, wkurzała powieściowa sztampa, biało-czarne wzorce. Ziryutowany rzucałem książką, wyklinałem autora, lecz... po czasie wracałem do lektur. Niektórych autorów zresztą dało się czytać, podejrzewam, iż byli to uznani literaci dorabiający sobie pod pseudonimami, bo zarobić – przy takich nakładach – można było nieźle. Nazwisk twórców kryminałów nie wymieniam, gdyż jest ich legion, zresztą uczynił to w mocno przesmiwym kontekście uznany poeta i tłumacz Stanisław Barańczak.

Pomoc Barańczaka

W przebrnięciu przez tę czarno-białą „arcydzielność” i fabularny schematyzm polskiej produkcji sensacyjnej pomógł mi właśnie Stanisław Barańczak i jego „Książki najgorsze”. A było tak... Pod koniec 2010 roku szykowałem się (kolejny już raz) do napisania paru zdań o powieści milicyjnej, gdy niespodziewanie z półki z krytyką literacką wypadły mi zakurzone „Książki najgorsze i parę innych ekscesów krytycznoliterackich” (wydanie drugie z 1990 roku). Usiadłem i jako odtrutkę na zatrucie polskim kryminałem potraktowałem znakomite analizy Barańczaka dotyczące „moich ulubionych autorów” i ich bohaterów, o których „przed chwilą” czytałem. W zasadzie nic dodać, nic ująć ze złośliwości poety i krytyka z Poznania, mieszkającego do śmierci w USA. Wiele z tego, co pisał i wytykał „kryminalistom”, zgadza się z prawdą historyczną, choć w sprawie oceny działalności literackiej niektórych twórców i redaktorów (idzie o Aneks w pracy Barańczaka i sprawę pokolenia literackiego „Nowych Roczników”) zgody nie ma.

Zmieniła się jednak perspektywa. To nie rok 1981, gdy Barańczak książkę składał do druku w nielegalnej oficynie Kos, ani nawet

1990, w którym pisał wstęp do drugiego wydania, lecz XXI wiek, w którym przypominałem sobie szkice poety, tłumacza i krytyka. Barańczak sugeruje na wznowionych kartach, iż opisywana przez niego grafomania lat 70., będąc na usługach minionego ustroju, szkodziła literaturze polskiej. Przepowiada też (rozsądnie), iż podobnie może być z grafomanią wolnorynkową, którą niesie kapitalizm (wstęp do drugiego wydania pisał w 1990 r., a ja pamiętam, mieszkając wówczas w Białymstoku, za lew zachodniego chłamu na bazarach, stoiskach ulicznych już od przełomu 1988/89). Ta przepowiednia się sprawdziła. Zresztą, cóż za przepowiednia?! Barańczak, mieszkając w USA, widział i znał „cały ten chłam” na co dzień.

Nie wiem jednak, co gorsze – grafomania na usługach państwa, ustroju (jak bywało w PRL, ale również w USA i wielu krajach Zachodu) czy grafomania będąca towarem zastępującym i wypierającym dobre książki, dzieła literackie, czego doczekaliśmy się z rozwojem kapitalizmu. Zauważmy, że ongiś to zjawisko – piętnowane przez Barańczaka bardziej z przyczyn politycznych niż literackich – nie ograniczało druku literatury wysokoartystycznej, na którą był wtedy większy niż dziś popyt, wynikający chociażby ze snobizmu lub z obowiązkowego kanonu lektur szkolnych. Obecnie raczej nikt nie snobuje się na Gombrowicza, nie kupuje dzieł zebranych Miłosza, Stachury. A z kanonu lektur wypchnięto podstawowe ongiś książki.

Żarty na bok

Zostawmy Barańczaka. Wracam do sygnalizowanej na początku zmiany własnego punktu widzenia na PRL–owską powieść kryminalną, czego raczej nie uwzględniłby dziś Barańczak lub ktokolwiek z jego kolegów z byłej opozycji. Otóż przy wszystkich felerach tamtej prozy sensacyjnej warto zauważyć taki fakt: dawna powieść milicyjna stała się ponieważ (powtarzam zastrzeżenie: ponieważ) powieścią ... dokumentalną, realistyczną. Zławsza za to wydawana po 1980 roku. Nie mam pod ręką przykładów, bo nie notowałem detali, czytając książki, ale zachowałem w głowie wiele dialogów, opisów sytuacji, które – zamierzenie lub nie – oddają, sędzę, dość wiernie miniony czas.

Młody porucznik milicji jedzie zmęczony po pracy do swego mieszkania. Dostał je w bloku. Ale jest nieumeblowane, nie stać go bowiem na pożyczkę. Autor ujął to w jednym zdaniu, a przecież prawdziwym. Dlaczego porucznik nie może wziąć pożyczki w swoim zakładzie pracy? Bo regres gospodarczy dotyczył wtedy wszystkich, choć niekoniecznie równo. Albo: kapitan „pędzi” po mieście 70 lub 80 km na godzinę swoim maluchem, choć wielu kolegów zasuwa do pracy tramwajem. „Dorobił się”, ale nie ma garażu. Parkuje pod blokiem. Jak większość obywateli. I jest narażony – jak wszyscy – na kradzież radia, akumulatora lub „luksusowych” pokrowców na siedzenia.

(Dokończenie na stronie 10)